

DOROTA MALINA  
(UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI)

## POJEDYNEK GIGANTÓW, CZYLI *ALICJA* NUMER DZIEWIĘĆ

W 2012 roku, jak przystało na Rok Janusza Korczaka, sporo działo się na rynku książek dla dzieci. Świadczą o tym nie tylko liczne publikacje rodzimych autorów (wśród których przoduje Michał Rusinek i jego nagrodzone przez Polską Sekcję IBBY *Wierszyki domowe*), lecz także nowe przekłady dziecięcych klasyków. To właśnie w zeszłym roku ukazały się trzy pięknie wydane i znakomicie przetłumaczone opera magna: *Pinokio* pióra Jarosława Miłkowskiego z ilustracjami Roberta Innocentiego, *Baśnie braci Grimm* Elizy Pieciul-Kamińskiej ilustrowane przez Adolfa Borna oraz *Przygody Alicji w Krainie Czarów* Elżbiety Tabakowskiej z ilustracjami Tove Jansson.

Szczególnie interesująca jest ostatnia z wymienionych pozycji, ponieważ jest to już dziewiąte (nie licząc wczesnych adaptacji) tłumaczenie arcydzieła Lewisa Carrolla. Rzut oka na poprzedników Elżbiety Tabakowskiej, słynnej tłumaczki słynnego Daviesa, pokazuje, że z *Alicją*... zmagają się przekładowi giganci tacy jak Maciej Słomczyński (jedyne tłumacz wszystkich dzieł Szekspira, człowiek, któremu nie straszny był Joyce czy Milton) i Robert Stiller (poliglota, tłumacz Nabokova i Burgessa). O tym, co takiego kryje w sobie ta niepozorna książeczka i dlaczego spędza sen z powiek pokoleniom ambitnych tłumaczy, napisano już wiele (ostatnio *Alicją* i jej polskimi losami zajmowała się na łamach „Dwutygodnika” Ewa Stusińska). W dużym uproszczeniu można powiedzieć, że główną trudność polega na obecności tak zwanego podwójnego adresata: książka jest bowiem zarówno fantastyczną baśnią o perypetiach małej dziewczynki w onirycznej Krainie Czarów skierowaną do dzieci, jak i filozoficzną, pełną nonsensownego humoru i społecznej satyry opowiadką dla dzieci starszych.

Śledząc kolejne polskie przekłady *Alice's Adventures in Wonderland* (a detektywów nie brakuje, bo dyscyplina, którą Elżbieta Tabakowska w posłowniu

nazywa „alicjologią”, rozwija się prężnie), można zaobserwować, że niektóre z nich są „bardziej dla dzieci”, a inne faworyzują starszych czytelników. I tak pierwsze spolszczenie pióra tajemniczej Adeli S. *Przygody Alicji w krainie cudów* zdecydowanie należy do pierwszej kategorii, natomiast bardziej filologicznie wierny i opatrzony przypisami przekład Stillera wydaje się bardziej „dorosły”.

A jaką *Alicję*... proponuje nam Elżbieta Tabakowska? Zdaniem Ewy Stusińskiej, nowe tłumaczenie jest z jednej strony „uwspółcześnione, uszyte na miarę 12-letniej wnuczki autorki, z drugiej – erudycyjne”. Wbrew tytułowi swojego artykułu – *W głąb translatorskiej nory* – Stusińska, która nakreśla również całą historię polskich przekładów, zbyt głęboko zejść nie może. Dlatego w swoim krótkim szkicu postaram się bliżej przyjrzeć Alicji Tabakowskiej, porównując ją z Alicją Słomczyńskiego. Oczywiście alicjolodzy natychmiast zarzucą mi metodologiczną dowolność: dlaczego spośród ośmiu przekładów do porównania wybieram właśnie Słomczyńskiego? Parafrazując Humpty’ego Dumpty’ego, kiedy ja piszę tekst (notabene bez żadnych pretensji do akademickiego obiektywizmu), ja decyduję, co opisuję. Mam jednak argumenty na poparcie swojego wyboru – przekład Słomczyńskiego (z 1965 roku) uznawany jest za pierwszy „udany” – pełny, wierny i do dziś bardzo często wznawiany.

Porównanie zacznę od tego aspektu książki, który od tłumacza z reguły nie zależy, ale kształtuje jeśli nie sam proces tłumaczenia, to na pewno odbiór tekstu przez czytelników. Ilustracje, bo o nich mowa, są oczywiście szczególnie istotne w przypadku literatury dla dzieci (jak mówi sama Alicja: „Na co komu książka bez obrazków i bez rozmów?”<sup>1</sup>), a zwłaszcza literatury fantastycznej. To one bowiem do pewnego stopnia determinują to, jak czytelnik wypełni Bachtinowskie puste miejsca w tekście, czyli mówiąc mniej uczenie, jak wyobrazi sobie to, co autor (albo tłumacz) opisuje. Dlatego Puchatek z ilustracji Shepherda nie jest tym samym Puchatkiem co jego okrągłutki, żółciutki Disneyowski imiennik.

Jeśli chodzi o *Alicję*..., to chociaż zdarzały się odstępstwa, zarówno w Anglii, jak i w Polsce, z reguły wydawano ją z kanonicznymi ilustracjami Johna Tenniela – Carroll i Tenniel stali się parą tak nieodłączną jak Milne i Shepherd, Roald Dahl i Quentin Blake czy Brzechwa i Szancer. Tradycji tej hołduje przekład Słomczyńskiego z ilustracjami Tenniela właśnie, zrywa z nią najnowsza *Alicja*... z rysunkami Tove Jansson. Jakie ma to implikacje?

Na rysunkach Tenniela Alicja sama jest „cudakiem”, jednym z wielu w Krainie Czarów – czasem wygląda, jakby cierpiała na wodogłowie, zdaniem samego Carrolla jest sztywna, nieproporcjonalna i ma rozdętą głowę (podaję za

<sup>1</sup> Cytaty pochodzą z najnowszego tłumaczenia.

przedmową do tłumaczenia Stillera). Inaczej jest u Tove Jansson – Alicja fińskiej rysowniczką jest bardziej delikatna, jakby szkieletowa, pozostawia większe pole dla wyobraźni. Wygląda jak zwykła dziewczynka, a prosta biała sukienka dodaje jej „ponadczasowości” – równie dobrze mogła urodzić się w epoce wiktoriańskiej, jak i w XXI wieku. W swoich ilustracjach Jansson starała się pokreślić „rzeczywistość” dziewczynki na tle jej surrealistycznego snu<sup>2</sup>. Ten kontrast stał się też zasadą, którą przy tłumaczeniu kierowała się Elżbieta Tabakowska. Jak pisze w posłowie, czyli w „Słowie-po-słowie” od tłumacza: „Jeśli ów kontrast między tym, co normalne, a tym, co szalone, ma zostać zachowany z unktu widzenia współczesnego czytelnika, to Alicja musi być Alicją w wersji Jansson, a nie Tenniela. Innymi słowy musi być «dzisiejsza»”<sup>3</sup>.

Oczywiście dzisiejszość (bądź archaiczność) Alicji widoczna jest nie tylko na ilustracjach, lecz także, a może przede wszystkim, w języku. To on jest bowiem tworzywem, za pomocą którego Carrollową Alice portretują tłumacze. Oczywiście język przekładu Słomczyńskiego z natury rzeczy będzie już dziś trącił myszką, bo od jego wydania upłynęło prawie pięćdziesiąt lat. Odnoszę jednak wrażenie, że nawet w latach sześćdziesiątych nie tak wysławiły się małe dziewczynki. Symptomatyczne jest już pierwsze zdanie „wypowiedziane” w głowie przez Alicję. U Słomczyńskiego pyta ona retorycznie „A jaki może być pożytek z książki, w której nie ma ani ilustracji, ani konwersacji?”, podczas gdy u Tabakowskiej zastanawia się: „Na co komu książka bez obrazków i bez rozmów?”. Ilustracje i konwersacje czy może obrazki i rozmowy? Jak myśli mała dziewczynka? Wybór obydwu tłumaczy jest funkcjonalny – Słomczyński już we wstępie deklaruje, że nie pisze „najpiękniejszą polszczyzną”, tylko trzyma się oryginału, żeby oddać oniryczny język i dwoistość oryginału, Elżbieta Tabakowska konsekwentnie tworzy Alicję dzisiejszą.

W konsekwencji tłumaczka poniekąd wyjątkowo Alicję z wiktoriańskiej Anglii. Owszem, jak pisze w posłowie, dziewczynka nadal w kieszeni nosi fartuszek, a w jego kieszeni napałek i suszone owoce, niemniej w przeciwieństwie do Słomczyńskiego Alicja numer 9 spada kilka kilometrów, a po wypiciu tajemniczego płynu ma ćwierć metra wzrostu, podczas gdy u Słomczyńskiego spadek mierzony jest w milach, a wzrost wyraża się w calach.

Język bohaterki i dawanie rzeczom „naszego” bądź „ichniego” słowa to kwestia decyzji tłumaczeniowych i różnych równouprawnionych wizji oryginału, które o ile są spójne, nie powinny być kwestionowane. Stanisław Barańczak przestrzegał przed krytyką tłumaczenia opartą na subiektywnych ocenach jednostkowych wyborów. Ponadto moim celem nie jest udzielenie odpowiedzi na pytanie: która Alicja jest lepsza? Mogę co najwyżej zapytać: lepsza dla

---

<sup>2</sup> Por. Boel Westin, *Tove Jansson Mama Muminków*, Warszawa 2012.

<sup>3</sup> J. Carrol, *Alicja w Krainie Czarów*, tłum. E. Tabakowska, Kraków 2012, s. 108.

kogo? lepsza do czego? Uważam, że każda propozycja tłumaczeniowa może wnieść coś nowego, a ponieważ tłumaczenie doskonałe nie istnieje, zawsze warto próbować. Czynię to ogólne zastrzeżenie dlatego, że w kolejnych dwóch akapitach niebezpiecznie zbliżę się do peanu na cześć Elżbiety Tabakowskiej. Nie chcę, podkreślam raz jeszcze, dyskredytować Słomczyńskiego – po pierwsze dlatego, że jego propozycja, mimo że sprzed pół wieku, do dziś jest znana i uznana, po drugie dlatego, że go szanuję oraz podziwiam jego dorobek, i wreszcie po trzecie dlatego, że krytykować wielkiego tłumacza może tylko inny wielki tłumacz (najlepiej w przedmowie do własnego przekładu przełożonego przez poprzednika dzieła), którym nie jestem.

Pozwolę sobie mimo wszystko przedstawić dwa z licznych fragmentów, w których ujawnia się kunszt Elżbiety Tabakowskiej, a w których Maciej Słomczyński bywa, jak zapowiadał, nie najzgrabniejszy.

Znamienne jest już porównanie pierwszych zdań:

M. S.: Alicja siedziała na brzegu obok siostry i była już bardzo znużona tym, że zupełnie nie ma co robić.

E. T.: Alicja była coraz bardziej znudzona siedzeniem obok siostry na brzegu rzeki i nicnierobieniem.

Zdanie to ma wprowadzić nas w senną atmosferę długiego popołudnia, podczas którego Alicja się nudzi, a czas ciągnie jej się jak krowka ciągutka. Elżbieta Tabakowska, językoznawczyni dysponująca całym arsenałem poetyki kognitywnej, maluje dla nas senną nudę nie tylko za pomocą znaczeń słów, lecz także ich form – bierność Alicji podkreśla jeszcze za pomocą imiesłowów biernych: „siedzenie” i „nicnierobienie” są dużo mniej aktywne niż czasownikowe „siedzieć i nie mieć co robić”, zwłaszcza że jedynym czasownikiem, który w tym zdaniu odnosi się do Alicji, jest najmniej aktywne ze wszystkich „bycie”. Alicja Tabakowskiej po prostu trwa (i zaraz zaśnie). Ta różnica w użyciu form może z pozoru wydać się błaha, jednak jak wiadomo, diabeł tkwi w szczegółach – takie właśnie drobne wybory składają się na całościowy kształt przekładu (i decydują o tym, czy „dobrze się go czyta”).

Drugi fragment opisuje podróż Alicji w głąb króliczej nory:

M. S.: W dół, w dół, w dół. Czy ten upadek nigdy się nie skończy.

E. T.: W dół, w dół, i w dół. Czy to spadanie *nigdy* się nie skończy.

Wydaje się, że w tym kontekście spadanie „brzmi lepiej” niż upadek. Jak można wyjaśnić tę intuicję? Językoznawcy kognitywni (których wybitną przedstawicielką jest Elżbieta Tabakowska) przywołałoby tu zapewne pojęcie obrazo-

wania sekwencyjnego i sumarycznego, czyli mówiąc prościej, „upadek” to zdarzenie widziane całościowo, natomiast „spadanie” podkreśla sam proces spadania, a ponieważ Alicja mówi w czasie spadania, podsumowujące słowo „upadek” wydaje się nie pasować.

Kolejnym aspektem tłumaczenia, w którym Elżbieta Tabakowska udowadnia swoją językową wirtuozerię, są parodie wierszyków, gry językowe i onomatopeje. Na temat tych pierwszych nie będę się rozpisywać – o przyjętej strategii pisze sama tłumaczka w posłowiu, komentuje je też w swoim artykule Ewa Stusińska. Wspomnę tylko, że w celu zachowania efektu parodystycznego Elżbieta Tabakowska trawestuje polskie wierszyki popularne w różnych okresach, w pokoleniu obecnych dziadków, rodziców i dzieci, tak że w jej *Alicji* dla każdego jest coś miłego. Gier językowych też nie będę opisywać, bo przyjemność ich odkrywania każdy czytelnik powinien smakować sam, a rozkładanie kalamburów na czynniki pierwsze jest jak tłumaczenie dowcipów. Dość powiedzieć, że na isticie Barańczakowską modłę, i z dorównującą mu błyskotliwością, Tabakowska nie tylko oddaje gry słowne Carrolla, ale tam, gdzie pozwala na to polszczyzna, dodaje żarcik od siebie (w zagadce zamiast „raven and a writing desk” mamy „sekretarza i sekretarzy”). Podkreślić chciałabym natomiast walory dźwiękowe przekładu tłumaczki, bo łatwo je przeoczyć, jeśli nie czyta się na głos. Kiedy Słomczyński pisze o „prosiaku i pieprzu”, u Tabakowskiej dostajemy cudowną instrumentację „pieprz i wieprzek”, natomiast kiedy u Słomczyńskiego suseł „siedzi głęboko uśpiony”, u tłumaczki „usadowiony [...] suseł słodko śpi”. Takich szeleszczących i brzęczących fragmentów nie brakuje, tak że lektura jest prawdziwą przyjemnością dla ucha.

Dźwięki to tylko jeden z elementów tworzących wspólną literacką ucztę – piękna polszczyzna, błyskotliwe gry językowe, pomysłowo przełożone wierszyki oraz oryginalne ilustracje sprawiają, że podróż w głąb króliczej nory to prawdziwa gratka zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych. Oczywiście następne pokolenia będą miały pewnie swoje Alicje, ale moim zdaniem przed tłumaczem numer dziesięć stoi nie lada wyzwanie.

